



Mirosław Derecki

ŻYCIE BLISKO SZTUKI

- Kochaaany!? Ty pamiętasz „Zielonego Gila”, cośmy razem wtedy występowali w Osterwie? No, Pamiętasz? Reżyserowała pani Zofia Modrzewska, „Zielony Gil”. Taka wesoła komedia Tirso de Moliny. Ty byłeś Don Antonio i w ostatniej scenie Machulską nosiłeś na rękach. Taki Gienek był... On występował, jako oficer straży. A ja grałem Don Diega. Piękna postać: stary grand hiszpański!

- Danuta Nagórna występowała w roli tytułowej...

- No, widzisz... Pamiętasz! Stasio Mikulski wtedy występował, Balcerzak Andrzej, Andrzej Chmielarczyk, Kazimierowska...

A starego Markowskiego pamiętasz? Jak wychodził w tej swojej liberii na front sceny? Jak zaklaskał w dłonie! Ale razem z nami w garderobie dla statystów nie siedział. Za stary był. Tam pod sceną - zimno.

- Ty wtedy pierwszy raz statystowałeś?

- Pierwszy. Przeszedłem do Teatru Osterwy: wrzesień 1958. Was tam już była gromada. Większość - studenci. Pamiętam. Takie wszystko: młode chłopaki, drobne, chude. No, kiedy trzeba wejść, zameldować, albo halabardę gdzieś na trzecim planie potrzymać, albo mnichem być; w habicie, z kapturem na głowie - to taki młody wystarczy. Ale „Zielony Gil”, sztuka wieloobsadowa, kostiumowa i sporo tam ról trzecio- i czwartoplanowych dla mężczyzn w sile wieku, wysokich, postawnych. Aktorów na te role nie starcza, a znowu taki zwykły chłopaczek, student - nie nadaje się. Trzeba mężczyzny, więc się grało...

Ale wiesz, co? Ja tam wtedy do was, do statystów, przyszedłem, jako „nowy” - ale kto was w ostatecznym rozrachunku przebił? Ja! Bo minęło oto ponad dwadzieścia lat, a ja wciąż występuję na scenie. Ostatnio grałem w „Hamlecie”. Pani Irena Babel dola mi dobrą postać: stary rycerz.

- Czeka... A tyś chyba kiedyś i w cyrku występował? Opowiadałeś nam, kiedy występowaliśmy razem w „Don Carlosie”. Ja wtedy w drugim akcie halabardę trzymałem. Jako Strażnik III.

- No. A Gienek był za mnicha. Przydzielili go do Wielkiego Inkwizytora...

- Żeby go podtrzymywał.

- Bo temu aktorowi, co grał Wielkiego Inkwizytora, oczy plastrami zalepiali. Niby, jako ślepcowi. Więc musiał mieć mnicha pod ręką, żeby się nie wywalił, jak wychodził z bocznej kulisy. Ale co to się pytałeś? A, o cyrk. No, więc, oczywiście. Oczywiście! Cyrk „Kazimiero”. Przy ulicy Rusalka w Lublinie...

Widzisz kochany, ja tak całe życie - blisko Sztuki. Albo teatr, albo cyrk, albo kino. Po prostu lubię to. Z zawodu jestem kinooperatorem, dziś już wprawdzie na emeryturze. Ale wcześniejszej, wcześniejszej, kochany! Jako były kombatan. Leci roboty nie rzuciłem do końca. Wyświetlam na zastępstwach w „Staromiejskim” i w „Robotsiku”. A jak trzeba, to i statystuje w teatrze. Ostatnio w „Hamlecie” na przykład.

- Ale z tym cyrkiem jak było?

- Z cyrklem było tak, że od dziecka ja już go kochałem. Pierwszy raz byłem w cyrku, jak miałem osiem lat. Przyjechał do Lublina mały, dwumetrowy cyrk „Prosperi”. Rozbili namiot na placu przy ulicy Szopena, tam gdzie dzisiaj jest sklep z meblami. Proszę ja ciebie: tresura dwudziestu pięciu koni naraz, akrobaci, kłowni... Coś pięknego! Ile razy od tego czasu przyjechał do Lublina cyrk, to my, dzieci zza Cukrowni - bo mój ojciec był robotnikiem, mieszkaliśmy na ulicy Radzikowskiej - to my biegliśmy do centrum miasta, do tego cyrku i tam przesiadywaliśmy na przedstawieniach całymi dniami.

Ale co tam „Prosperi”. Cyrk „Medrano” - to był cyrk! Dwóch Murzynów, dzikie zwierzęta i jeden atleta, który utrzymywał na sobie piramidę z dziesięciu facetów. To już było na placu: róg Okopowej i Lipowej; tam się zwykle zatrzymywały cyrki i wesołe miasteczka. Albo też - obok dzisiejszego Domu Oficera, tam gdzie stoi pomnik.

- Pomnik Wieniawskiego?

- Niech będzie - Wieniawskiego; kto go tam rozpozna?

- Pamiętam po wojnie, na placu przy Lipowej, „Cyrk Wielki”...

- Kochany - jaki on „wielki” był?! WIELKI to był przed wojną Cyrk Braci Staniewskich. Albo cyrk „Korona” rodziny Hergot - matki i jej czterech synów - co się najpierw na elektrycznych karuzelach dorobili i za te pieniądze kupili pierwsze szapito, a potem im się interes rozrósł, że „Korona” miała kilka osobnych zespołów jeżdżących równocześnie po kraju.

Myśmy wszyscy, jako chłopcy kochali cyrk i marzyliśmy, żeby w takim czymś pracować. I ja miałem nawet w drużynę w Czerwonym Harcerstwie kolegę, Bronisława Jarzynę, który później właśnie został akrobatą w Cyrku Braci Staniewskich. A w 1939 roku Bronek Jarzyna spadł w Zawierciu z trapezu na arenę i zabił się na miejscu. Zaś drugi znowu najbliższy mój kolega z czerwonego Harcerstwa, Kazimierz Nowakowski, też zginął w 1939 roku. Jako podchorąży, we wrześniowych walkach pod Tomaszowem Lubelskim.

A na przykład do kina: chodziło się za czasów mojego dzieciństwa do kina „Zachęta” przy ulicy Bernardyńskiej, Dzisiejsza - Dąbrowskiego. Tam księża mieli budynek z długą, wąską, salą - i różnym podnajmowali. Najdłużej prowadził to kino niejaki Teleńczuk, jeszcze do tej pory chyba żyje w Lublinie. Potem kino „Zachęta” zmieniło nazwę na „Uciecha” i wreszcie „Gwiazda”. Nazwy się zmieniały, ale samo kino prawie nic a nic, bo jeszcze do lat trzydziestych nie było tam aparatury dźwiękowej i szły tylko stare filmy nieme: z Flipem i Flapem, Patem i Patachonem, kowbojskie różne, albo „Znak Zorro”, „Czarny Pirat” i temu podobne. Pełno tam było zawsze młodzieży, a najwięcej - z przedmieść, bo bilety były najtańsze w Lublinie. Nieraz sobie to kino wspominałem, jak zostałem kinooperatorem i jak po wojnie jeździłem z kinem ruchomym.

- A na „Jasełka” do Salezjanów na Kalinowszczyźnie, chodziłeś?

- A kto tam nie chodził! Ja sam, jak gdzie - jeszcze przed wojną - była okazja, jakieś przedstawienie amatorskie albo akademia, zawsze brałem udział. Po wojnie także zaraz poszedłem do teatralnego ruchu amatorskiego.

- Byłeś na wojnie?

- A to, kochany, zupełnie inna historia. Widzisz - o, ta blaszka: owalna, można ją przełamać na dwie połówki. Na każdej ten sam napis: „Mieczysław Gruszczyński. Katolik. Lublin 1917.” To jest „śmiertelna blaszka”. Jak bym został zabity. Dla ewidencji. Wrzesień, kochany: 13 pułk artylerii lekkiej, 13 Dywizja, Armia „Prusy” generała Dąb-Biernackiego. Działka „siedemdziesiątki piątki”, ciąg konny. A ja - konny zwiadowca. Po szkole podoficerskiej w Równem.

Pierwszy września rano - stoimy w lesie pod Solcem Kujawskim. Pierwszy września przed południem - ładujemy się na pobliskiej stacji Cierpice na transport kolejowy. W dwa dni dojeżdżamy pod Tomaszów Mazowiecki. Dwie doby strzelamy do niemieckich czołgów, broniąc szosy z Piotrkowa Trybunalskiego do Warszawy. A potem - odwrót, pułk idzie w rozsypkę, z grupą kolegów całymi tygodniami przedzieramy się na zaplanowane miejsce zbiórki. No, co ja ci będę o tym opowiadał? Można tylko: albo bardzo długo, albo bardzo krótko. Wiadomo - Wrzesień 1938.

- Na tym zdjęciu jesteś z brodą i nosisz dystynkcje sierżanta...

- Broda - taka moda, nie? Moda z czterdziestego szóstego roku. Teraz noszę wąsy. To zdjęcie jest z 8 batalionu obsługi lotniczej 1 Armii Wojska Polskiego. Poszedłem po wyzwoleniu do wojska - 18 sierpnia 1944 r. - byłem do 26 maja 1946 r. Najpierw - kierowca, potem już: szef kompanii. Jak wychodziłem do cywila, miałem sierżanta.

- I wtedy trafiłeś do cyrku?

- Jakiego tam znów cyrku? Co ty ciągle o cyrku? Do Monopolu Tytoniowego trafiłem, a nie do cyrku. Jak to się popularnie mówiło, na przedwojenny sposób: Monopol Tytoniowy. A

oficjalnie: Zakłady Uprawy Tytoniu Przemysłowego przy ulicy Wrotkowskiej. A tam, kochany, tam był dobry zespół teatralny przy świetlicy, do którego zaraz wstąpiłem. Był też chór i zespół recytatorski. Ja to lubię, wiesz? Mówiłem ci, tak? Że lubię teatr, estradę, film, tak z czystej miłości, nie dla pieniędzy... Więc ja tam zaraz wstąpiłem i graliśmy szereg sztuk, a najbardziej dobrze zapamiętałem „Oświadczyń” Czechowa, gdzie odtwarzałem postać Czubanowa. Taka niewielka, trzyosobowa sztuka. Zajęliśmy nawet dobre miejsce na eliminacjach zespołów amatorskich w Domu Żołnierza w 1946 roku. O, dużo wtedy z naszym prawdziwy kolos, a tutaj, na Rusałce zespołem artystycznym z Monopoli jeździliśmy: w Warszawie występowaliśmy, w Sali „Romy” przy ulicy Nowogrodzkiej...

A jeszcze o jednym ci opowiem: w 1947 roku znalazłem się w teatrzyku rewiowym „Błękitny motyl”, który działał przy OM TUR-ze. Jeździło się w teren: po świetlicach, po jednostkach wojskowych: wszystko oczywiście – społecznie. Kierownikiem tego „Błękitnego motyla” był muzyk i kompozytor Zygmunt Lewandowski. Znał swój fach; przed wojną m. in. grał na pianinie w kabarecie, w kinie „Uciecha” na Dzikiej w Warszawie. Mieliśmy w repertuarze monologi, skecze, piosenki. Piosenki pamiętał Lewandowski, a poza tym przypominało się sobie takie różne teksty humorystyczne, co się je znało sprzed wojny, i tak powstawał program. Był w naszym zespole Adam Michniewski, Zdzisław Siarkowski, Kazio Szczeciński (ten bileter, który do dzisiaj pracuje w kinie „Robotnik”), konferansjerkę prowadził (w butach z cholewami, bo innych butów wtedy nie posiadał) Wacek Korzeniowski, a śpiewała Lucyna Szadowska, która później wyszła za mąż za znanego piłkarza „Lublinianki”, Janusza Cieślińskiego.

Co ja chciałem teraz powiedzieć? No właśnie: otóż to, że w taki oto sposób doszliśmy nareszcie do cyrku. W 1947 roku przyjechał do Lublina mały, dwumasztowy cyrk „Kazimiero”, którego właścicielem był Kazimierz Dyś...

- A na Placu „Sokoła” przy ulicy Narutowicza rozbił w tym samym czasie namioty czteromasztowy cyrk „Józefiego”, z własną menażerią i wesołym miasteczkiem...

- I z własnymi liliputami, którzy obsługiwali strzelnice. Ale cyrku „Józefiego” nie można w ogóle porównywać z „Kazimiero”! Tamto, to były dopiero początki zespołu. Dyś kupił okazjnie namiot i dwa wozy w Lubaniu Śląskim i przyjechał z nimi do rodzinnego Lublina. Zawsze marzył o własnym przedsiębiorstwie cyrkowym. Jeszcze od przed wojny, kiedy występował w szkołach i świetlicach, jako magik, iluzjonista i akrobata. Po wojnie, jak mu w końcu ten interes z cyrkiem „Kazimiero” zawałił się, przez wiele lat pracował, jako kłown w cyrkach państwowych.

Ale wtedy, w 1947 roku, wszystko było jeszcze na już najlepszej drodze. Dyś zaangażował niezłego akrobatę parterowego, był w zespole gość, który deptał bosymi nogami po szkle, sam dyrektor łykał szable i miecze. Wtedy właśnie zaangażowałem się do Dasia.

Występowałem w skeczach i humorystycznych scenkach. Nie wiem, jak by się potoczyło dalej moje życie, bo cyrk „Kazimiero” wyruszał w drugiej połowie sezonu na gościnne występy do Zamościa, a ja bym pewnie pojechał z Dysiem - bo już ci mówiłem, od dziecka marzyłem o cyrku - ale akurat dostałem pracę stałą, w kinie „Bałtyk”, czyli w dzisiejszym „Robotniku”. I tak pękły marzenia młodości.

Ale „w trasę” i tak wyruszyłem. Niedługo potem przerwali mnie na kina objazdowe, zostałem kierownikiem takiego właśnie kina.

- To były „Chevrolety” z demobilu, prawda? Takie półciężarówki z nadbudowaną karoserią i napisem nad szoferką: „Kino ruchome nr...” Garażowały te kina na podwórzu „Apolla” przy ulicy pstrowskiego...

- Kochany, takie szewrolety to były kina „luksus”! Z własnym agregatem do wytwarzania prądu i wszelkimi tam udogodnieniami dla załogi kina na dalekie, brudne trasy: na Hrubieszów, na Włodawę... W 1948 roku było w Lublinie 12 kin objazdowych, ale samochodów mieliśmy chyba tylko ze cztery albo pięć. Samochody szły na Horodło, na Dubienkę, gdzie i prądu nie było i PKS rzadko kiedy docierał, jeżeli w ogóle docierał. A reszta, to były kina objazdowe „na owsiany gaz - jak my między sobą mówiliśmy. Znaczą się: jechałeś pekaesem na przykład do Markuszowa ze składanym projektorem i filmami w blaszanych pudłach, a potem najmowałeś furmankę i dalej w Polskę, po wsiach, po osadach. Chłopu płaciło się za transport utargiem z biletów i tak się podróżowało od wioski do wioski, od szkoły do szkoły. Przez pełne dwadzieścia cztery dni w miesiącu, bo tyle trwała jedna „tura”.

Jak ludzie wtedy garnęli się do kina! Jak na nas czekali, jak nas witali i woziliśmy takie filmy, jakie im się podobały: „O 6 wieczorem po wojnie”, „Sekretarz rejkomu”, „Strażnica w górach”, „As wywiadu”, „Pieśń tajgi”... Jak zajechałem pewnego razu pod szkołę w Horodle, wybiegły na mój widok wszystkie dzieci, chyba ze sześćdziesiąt sztuk, i urządziły mi takie brawa, taką owację, jakby jakiemu dostojnikowi. Tak wtedy kino kochano. A dziś - słyszy się – coraz mniej sal kinowych w terenie, wszystko przed telewizorami siedzi...

- A może filmy w tych kinach słabe?

- A bo ja wiem? W 1960 roku przeszedłem do „Grażyny” na LSM, do tego kina-baraku - pamiętasz! Prezes Kukuryka nieraz wtedy do mnie przyszedł i zagadał: „Panie Mieczysławie, niech pan coś dobierze dla naszych ludzi, coś tak - według własnego uznania, po starej kinowej praktyce”. To ja - dlaczego nie? Repertuar przygotowałem atrakcyjny: kryminały, filmy kowbojskie, komedie... Ludzie mi chodzili do kina!

Dziesięć lat pracowałem w „objazdówce”. Aż w 1958 przeszedłem na pomocnika operatora w kinie „Staromiejskie”. Zrobiłem pierwszą kategorię. O, nagle zrobiło mi się czasu a czasu! Mieszkałem sobie w domu, w Lublinie, wieczory zazwyczaj miałem wolne, bo

pracowałem na rannej zmianie. I wtedy właśnie, na jesieni 1958 roku, przeczytałem w gazecie, że potrzebują statystów do „Osterwy” do „Zielonego Gila”. I tak zacząłem występować w teatrze. Razem występowaliśmy, no nie? Ty Don Antonia grałeś, ja - Don Diega, a Gienek - oficera straży. Pamiętam dobrze.

- Ty nadał występujesz; jako grand hiszpański, rycerz, stary wielmoża...

- Ja nie jestem zawodowym aktorem; ja gram to, co lubię, ja występuję w teatrze dla przyjemności. Bo wiesz, co ja lubię? Ja lubię żyć blisko Sztuki.

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 18, s. 6.